

GWIAZDY ★ ROMANSU

Mowa ciała

Millie Criswell



Czy wiesz dlaczego
książki Wydawnictwa Harlequin
czytają miliony kobiet?

Najczęściej wybierane odpowiedzi:

- ☒ lubię szczęśliwe zakończenia
- ☒ wprawiają mnie w radosny nastrój
- ☒ pozwalają oderwać się od rzeczywistości
- ☒ zapewniają miły relaks

HARLEQUIN®

dla każdej kobiety, każdego dnia...

Więcej informacji znajdziesz na
www.harlequin.com.pl

Mowa ciała

Millie Criswell
Mowa ciała

Przełożyła:
Klaryssa Słowiczanka



Tytuł oryginału: Body Language

Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2004

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Korekta: Ewa Popławska

© 2004 by Millie Criswell

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2007

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy MIRA jest zastrzeżony.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie: COMPTExT ®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 978-83-238-3070-2

Indeks 324531

MIRA 1

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jeśli zamierzasz zerwać z facetem, najpierw upewnij się, czy włożył ci na palec pierścioneł zaręczynowy.

Ellie Peters przeżywała kryzys wieku średniego. No, może niezupełnie średniego. Miała dokładnie trzydzieści dwa lata, trzy miesiące i siedemnaście dni, jednak ponieważ mieszkała na średnim Manhattanie – nie górnym i nie dolnym, ale właśnie średnim – chyba również dlatego całe swoje życie uważała za średnie.

Za to jak już przytrafił się jej jakiś kryzys, to od razu potężny jak tornado!

– Musimy znaleźć sobie dach na głowę, Barn, i to szybko. Brian wraca z L.A. w przyszłym tygodniu, do tego czasu musimy się stąd ewakuować.

Propozycja wyszła od niej, nie od jej dotychczasowego partnera.

Brian nazwał Barnabę „kretyńską pomyłką Boga” i w dodatku jako kompletny dureń ludził się, że po czymś takim będą mogli być razem. Nawyzywał psa i kazał oddać go do schroniska tylko dlatego, że ten obsikał jego pantofle od Bruna Magliego.

Tak jakby Barn zrobił to złośliwie!

Barn, buldog o fizjonomii, która tylko w sercu matki mogła budzić miłość, pod warunkiem, że rzeczona matka byłaby ślepa, przyjął wiadomość potężnym pierdnięciem, po czym zaskomlał żałośnie. Najwyraźniej był świadom, że to przez niego rozpadł się związek pani z tym ponurym facetem i że teraz będą musieli szukać sobie nowego lokum, bardziej przyjaznego dla buldogów i upartych kobiet.

Jeśli Ellie czegoś żałowała, to tylko tego, że musi wynieść się z mieszkania, w którym całkiem znośnie egzystowała przez ostatnie pół roku. Niestety zdecydowanie źle to rozegrała.

– Nie martw się, Barnaba – powiedziała, klepiąc czule psa po głowie. – Postawiona przed wyborem czy wybrać porządnego, cudownego psa, czy przeciętnego faceta, nie miałam problemu z podjęciem decyzji. To łatwe. W dodatku Brian był gorzej niż przeciętny. Był śmiertelnie nudny. Powiedz piesku, czy normalny człowiek czyści nitką zęby po każdym posiłku? – Ellie przypomniały się metry zużytej nitki zwisającej z krawędzi kosza na śmieci,

którą nieustannie musiała wpychać do środka, i aż wzdrygnęła się z obrzydzenia.

Tak, Brian też powinien wylądować w koszu. Tam było jego miejsce.

Poza tym lepiej rzucać, niż być rzucaną, szczególnie kiedy do tej pory człowiek występował w tej drugiej roli.

– Bez Briana będzie nam lepiej, Barn.

W odpowiedzi Barnaba przejechał jej po policzku językiem. Ellie otarła ślinę rękawem bluzy ze znakiem Georgetown University, jej ukochanej Alma Mater, i wróciła do studiowania ogłoszeń.

Mieszkania w Nowym Jorku mają to do siebie, że są horrendalnie drogie, a Ellie oczywiście nie miała do dyspozycji milionów Donalda Trumpa. Pracowała jako tłumaczka w ONZ i nie zarabiała tyle, żeby wynająć przyzwoite lokum w pobliżu Central Parku, jak to, w którym mieszkała z Brianem.

Westchnęła na myśl o przeprowadzce. Barn lubił biegać po parku, tarzać się w trawie, ganiać i dokazywać z kumplami, a ona lubiła przechadzać się Piątą Aleją i oglądać sklepowe wystawy.

Na zakupy w drogich butikach nie było jej na razie stać, ale to nie znaczy, że należy od razu rezygnować z marzeń.

Wielkie dzięki, Brian!

Nie, dość tego użalania się nad sobą!

Brian Pomeroy miał kosztowne gusta – garnitury

Hugo Bossa, roleksy, kolacje w „La Cirque”. Był współnikiem w kancelarii adwokackiej Fields, Morgan and Pomeroy i mógł sobie pozwolić na takie kaprysy.

Przez pewien czas Ellie była jedną z jego zachcianek.

Przy wszystkich swoich wadach – no bo jakim trzeba być człowiekiem, żeby nie lubić psów – Brian potrafił być szczodry. Kupował jej kosztowną biżuterię, zabierał na weekendy na Bermudy i do opery, chociaż Ellie żywiołowo nienawidziła opery.

Cóż, Brian prawdopodobnie uznał, że skoro Ellie jest pół-Włoszką i mówi biegle po włosku (mówiła też biegle po francusku i hiszpańsku), to automatycznie musi być miłośniczką opery.

Nie, zdecydowanie nie była! Arie, i to w każdym języku świata, przyprawiała ją natychmiast o potężny ból głowy. Zaczynała głośno ziewać, opadały jej powieki...

Briana poznała na koktajlu w ambasadzie włoskiej. Wyglądał zabójczo, natomiast ona dość rozpaczliwie szukała faceta, no i tak to się zaczęło.

Był to chyba związek oparty na przyciąganiu się przeciwieństw, bo niewiele mieli ze sobą wspólnego poza tym, że oboje uwielbiali dobrą kuchnię, a w Nowym Jorku nie brakuje doskonałych restauracji, i lubili czytać niedzielne wydanie „New York Timesa” od deski do deski. Czasami próbowa-

li rozwiązać razem krzyżówkę, co jednak zawsze kończyło się potężną kłótnią.

Brian uważał się za niezwykle mądrego, bo znał trudne słowo „bifurkacja”.

A komu potrzebne takie językowe dziwactwo!

Ellie podciągnęła trochę bluzę i spojrzała na swój zaokrąglony – z miłości do dobrej kuchni, ma się rozumieć – brzuch. Powinna koniecznie zrzucić jakieś pięć, nawet siedem kilogramów.

Zastosuje rozsądną dietę, będzie codziennie trochę ćwiczyć, w ogóle dokona radykalnych zmian w swoim życiu.

Znajdzie mieszkanie, gdzieś blisko siedziby ONZ, wspaniałe, ale niezbyt drogie. Schudnie, ale nie będzie odmawiać sobie ukochanych potraw i wyciskać z siebie ostatnich potów na bieżni. Pewne poświęcenia będą konieczne, jednak bez przesady. I, rzecz najważniejsza, znajdzie w końcu Właściwego Faceta. I to nie żadnego pierwszego lepszego Właściwego, nie, to będzie Właściwy Doskonały, Ideal. Stanowczo zbyt długo zadawała się z Niewłaściwymi. Miała już serdecznie dość.

Nie mówiąc o tym, że przyzwoity orgazm to coś, co też warto by przeżyć.

Brian wiedział, co znaczy „bifurkacja”, ale nie miał pojęcia o erotycznych potrzebach kobiety. Nie umiał zaspokoić partnerki. Kompletny analfabeta, niedouczony bubek.

Ellie pokręciła głową i zakłęła pod nosem, próbując pozbyć się niemiłych wspomnień na temat pana Pomeroya, po czym podniosła słuchawkę i zaczęła wystukiwać numery z ogłoszeń.

– Bierz swoją smycz, Barn – zarządziła po dwóch kwadransach rozmów. – Ruszamy na łowy.

Dwa tygodnie później Ellie i Becky Morgan, koleżanka z pracy, jadły lunch, siedząc przy swoich biurkach w Dziale Tłumaczeń i Przekładów w gmachu ONZ.

– Podoba ci się w końcu to nowe mieszkanie czy nie? – dopytywała się Becky. – Miałas szczęście, że znalazłaś coś tak blisko biura.

– Poczekaj! – Ellie podniosła dłoń, dając znak Becky, żeby siedziała cicho. Przetłumaczyła ostatnie zdania z wystąpienia ambasadora Włoch przed Zgromadzeniem, zdjęła słuchawki i uśmiechnęła się. – Przepraszam, musiałam to skończyć, żeby oddać Moody’emu do zatwierdzenia.

Becky zajmowała się tłumaczeniami symultanicznymi i konsekutywnymi w trakcie obrad, posiedzeń i spotkań, natomiast Ellie robiła przekłady pisemne.

– Nic nie szkodzi. Pytałam, czy podoba ci się twoje nowe mieszkanie.

– Uwielbiam je. – Ellie ugryzła ogromny kęs kanapki. – Stary blok na East 53 Street, między First

Avenue i East River. Mieszkanie jest naprawdę duże. Mam kominek i gabinet do pracy. Chodzę do pracy na piechotę, to zaledwie kilkuminutowy spacer. Świetna sprawa, zwłaszcza że dzięki temu wspieram narzucony sobie reżim. No wiesz, więcej ruchu, mniej jedzenia.

Który zacznę realizować od jutra... lub za kilka dni, dodała w myślach.

– Brzmi wspaniale – powiedziała Becky dość obojętnie, co nieomylnie wskazywało, że ma jakieś kłopoty. Becky była mężatką i mamą dziesięciomiesięcznego synka.

– Jonah dostał w piątek zapalenia ucha. Martwiliśmy się, bo bardzo gorączkował i płakał, ale teraz jest już lepiej.

– Dzięki Bogu. Musiałś nieźle się przestraszyć.
– Ellie uwielbiała Jonaha. Ilekroć zostawała z nim, kiedy rodzice wychodzili gdzieś wieczorem, jej zegar biologiczny zamieniał się w głośną bombę zegarową.

Mama byłaby zachwycona, gdyby mogła usłyszeć to tykanie.

Rosemary Peters była Włoszką z krwi i kości. W jej pojęciu kobieta nie zasługiwała w pełni na to miano, o ile nie wydała na świat liczego potomstwa, nie potrafiła ugotować obiadu dla dwudziestoosobowej, trzypokoleniowej rodziny z tego, co aktualnie zalegało w lodówce, i nie potrafiła

odklepać Dziesięciu Przykazań z szybkością karabinu maszynowego.

Inaczej mówiąc, pani Peters była klasyczną włoską „mammą”. Kochała męża i dzieci, co w praktyce oznaczało, że wtrącała się we wszystkie ich sprawy. Chodziła co niedzielę do kościoła, jak każda prawdziwa katoliczka wierzyła w łaskę i grzechów odpuszczenie, wspaniale gotowała. Jeśli dziewczyna nie miała przynajmniej siedmiu kilogramów nadwagi, pani Peters szyderczo określała ją mianem anorektycznego szkieletu.

To ostatnie mogło być nawet miłe, kiedy człowiek nie wszedł jeszcze w okres pokwitania i wsuwał czekoladki na kilogramy, a nie na sztuki.

– Co u twojej mamy? Nie wspominałaś o niej ostatnio. – Becky musiała czytać w myślach Ellie.

– Nie wspominałam, bo jak tylko zaczynam o niej mówić, zaraz dzwoni. Chyba ma zdolności parapsychiczne albo praktykuje wudu. Nie jestem pewna. Jedno wiem, że jak tylko wymówię jej imię, odzywa się telefon. Hm, może to coś w rodzaju telepatii?

Ellie uwielbiała matkę, ale bardzo cieszył ją fakt, że jej staruszka mieszkała na Florydzie, a nie w Nowym Jorku. Nie wytrzymałaby codziennej obecności Rosemary Peters w swoim życiu. To, co dostała, zanim wyjechała na studia, stanowiło absolutnie zadowalający i wystarczający kapitał.

Powiedzieć, że Rosemary była pedantką, to

mało. Rosemary miała bzika na punkcie sprzątania. Cierpiała na obsesję czystości. Gdy robiła porządki, przejawiała wszelkie symptomy zachowań kompulsywnych. Atakowała brud z furją, przy której panie z reklamy środków czystości wydawały się żalonymi niedojdami. Żadna bakteria w promieniu kilkudziesięciu metrów od centrum rażenia, a centrum tym była Rosemary zawsze poruszająca się po domu z bronią chemiczną w rękę, nie miała najmniejszych szans na przeżycie.

W pojęciu Rosemary niżej od bakterii w hierarchii bytów stała jedynie samotna i bezdzietna córka.

– Nadal myślicie o kupnie domu na Long Island? Jak się przeprowadzicie, nie będę mogła zostawać z Jonahem. Bardzo mi będzie brakowało tych wieczorów. – Ellie lubiła napawać się swoim instynktem macierzyńskim, pod warunkiem, że nie musiała tego robić dłużej niż trzy, cztery godziny. Uwielbiała dzieci, ale знаła granice swoich możliwości w tym zakresie.

– Będzie wam brakowało zgiełku wielkiego miasta.

Becky pokiwała smętnie głową. Najwyraźniej nie zachwyciła jej perspektywa wyniesienia się z Manhattanu.

– Ben chce być bliżej rodziców, a i Jonahowi dobrze zrobi mieszkanie w bardziej „normalnym” otoczeniu, cokolwiek to oznacza.

Ellie ugryzła kolejny kęs sandwicza i też zmar-kotniała. Bo jak tu się nie smucić, kiedy musisz jeść indyka bez majonezu, a twoja najlepsza przyjaciółka przenosi się za miasto.

– Coś zyskacie i coś straciecie – stwierdziła sentencjonalnie. – Wszystko ma swoje plusy i minusy. Uciekniecie od zgiełku, ale wieczorem nie wyskoczycie już na kolację do pobliskiej knajpki czy do teatru.

– Ben przyrzeka, że tak całkiem nie zamkniemy się w domu. – Mina Becky mówiła jednak coś zupełnie innego.

Kiedy Ben będzie miał tuż pod nosem wielkie markety z równie wielkimi parkingami i więcej niż jedno statystyczne drzewo na statystyczne szesnaście tysięcy mieszkańców, Manhattan straci dla niego wszystkie, już teraz wątpliwe, zalety. Becky Morgan zacznie strzyc trawnik przed domem i zano-sić sąsiadkom zapiekankę, a one będą odwdzięczać się jej tym samym. Stanie się typową panią domu z podmiejskiego osiedla.

Na szczęście Ellie nienawidziła zapiekanek, szczególnie z tuńczykiem, i nie umiała strzyc trawników.

Jak również nie miała faceta, który decydowałby o jej życiu.

No i wreszcie od jakiegoś czasu towarzyszyło jej przeczucie, że życie powoli nabiera sensu i zmierza we właściwym kierunku.

Gdy odezwał się telefon, Ellie dosłownie zeszytniała.

– To mama, Barn – poinformowała psa. – Czuję złą energię w powietrzu. Z aparatu emanuje paskudna aura. Widzisz?

Buldog, rozciągnięty przed kominkiem, wśród sterty kartonów, zasłonił pysk łapą i zaskamlał żałośnie.

– Już nie przesadzaj, stary. Takie teatralne numery są zarezerwowane dla mojej mamy. – Rosemary w rzeczy samej dramatyzowała i wpadała w histerię bez względu na powagę sytuacji. Gdyby była aktorką, dawno dostałaby Oscara. Ellie podniosła z westchnieniem słuchawkę.

– Och, jesteś. Już się bałam, że gdzieś wyszłaś.

– Cześć, mamó. Rozpakowuję się. Ciągłe jeszcze straszny tu bałagan, ale mieszkanie jest świetne. To znaczy, będzie, jak już dojdę do ład ze swoimi rzeczami.

– Nie mogę się doczekać.

Niebezpieczeństwo odwiedzin! Matczyny desant! Kryj się.

– Trochę potrwa, zanim się urządzę. – Dziesięć lat. Może dłużej. Nigdy się nie urządzę.

Benjamin Franklin powiadał, że radość z gości, jak ryba, psuje się po trzech dniach. Rosemary wystarczyły trzy godziny, by popsuć Ellie radość z odwiedzin mamy.

– Mieszkanie wygląda w tej chwili okropnie. To po prostu katastrofa. Nie mam mebli, nawet nie ma na czym spać.

No bo nie ma!

– Ellie, nie denerwuj się. Dama nie powinna się łatwo irytować.

Ellie wsadziła głowę do lodówki. Najchętniej skończyłaby z sobą, ale po namyśle postanowiła kontynuować spacer po tym padole łez. Dlatego też uznała za stosowne wzmocnić organizm jedynym, co znalazła, czyli kawałkiem spleśniałego sera. Wyciągnęła go i nadgryzła od tej strony, która prezentowała się nieco lepiej i chyba nie groziła zatruciem pokarmowym.

Wizyta matki, czy to faktyczna, czy tylko planowana, oznaczała przyrost masy ciała przynajmniej o pięć kilogramów. Ellie modliła się żarliwie, żeby Rosemary została na Florydzie, dopóki jej ukochane dziecko nie zrzuci obecnych zapasów tłuszczu.

Mamo, miej wzgląd na moją figurę i równowagę psychiczną, błagała w myślach.

– Jak tata? Czy ma dużo pracy? – Tata, Theodor, albo Ted, bo to zdrobnienie wołał, był księgowym i prowadził własne biuro rachunkowe w domu. Marzec i kwiecień to były najgorsze miesiące, czas przed składaniem rocznych zeznań podatkowych. Potem wszystko się uspokajało i przez resztę roku Ted obsługiwał spokojnie swoich stałych klientów.

– Tata prawie nie odchodzi od komputera. Nic, tylko siedzi w internecie. Nie wiem, czy to zdrowe. Żyje jak pustelnik, nie wychodzi ani do kina, ani na zakupy, kompletnie nigdzie, odmawia sobie wszelkich przyjemności. Dłużej nie wytrzymam. Od pięciu lat mieszkamy na Florydzie, a ja jeszcze ani razu nie byłam na plaży. Moje przyjaciółki, szczególnie Estella Romano, biorą mnie już na języki.

– Nie pomyślałaś, żeby pójść sama?

– A co to za przyjemność?

Ellie słyszała podenerwowanie w głosie matki. Niedobrze. Rosemary Peters zwykle panowała nad sobą, swoimi reakcjami, nad sytuacją. Można by powiedzieć, że nawet za bardzo...

– Uspokój się i podejdź trzeźwo do sprawy. Wiesz, że tata lubi samotność. Nie dziw się, że przepadł w internecie. Mnóstwo ludzi woli surfować po sieci, niż czytać albo oglądać telewizję. Dlaczego tak się tym martwisz?

– To nie jest zdrowe, mówię ci. Powinien się więcej ruszać. Nie jest coraz młodszy, tylko coraz starszy, rośnie mu brzusek. Sama widziałam, jak któregoś dnia ledwie mógł zasznurować buty.

Ellie poklepała się po brzuchu i wyrzuciła ser do kosza.

– Wolę się nie wypowiadać na ten temat. Sama powinnam zrzucić kilka kilogramów.

– Przestań gadać bzdury. Jesteś chuda jak szcza-

pa. – W głosie Rosemary zabrzmiała zgroza. – Co ty chcesz zrzucać? Żaden mężczyzna nie pójdzie do łóżka z taką chudziną.

Żadna szanująca się Włoszka nie używa takich słów jak „dieta”. Chyba że chodzi o nawyki żywieniowe męża, wtedy szanująca się Włoszka ma prawo odstąpić od zasady, bo szanująca się Włoszka to kobieta, która potrafi czynić wyjątki od reguły.

– Nie jestem wcale szczapą, mamó. Szczapy nie mają fałdek na brzuchu, poza tym aktualnie z nikim nie sypiam.

– Nie opowiadaj mi o swoim życiu seksualnym. Nie chcę słuchać takich rzeczy.

Ellie wzniosła oczy do nieba.

– Ty zaczęłaś. Poza tym nie jestem już dzieckiem. Zdarza mi się sypiać z facetami.

– Tak, tak. Powinnam się cieszyć, że nie z kobietami, prawda?

– Nie ćpam i nie skończyłam na ulicy, z tego też powinnaś się cieszyć.

– Jesteś okropna, Ellie. Powinnam była szorować ci usta mydłem, kiedy byłaś mała. Może wtedy potrafiłabyś okazać trochę respektu własnej matce.

Respekt, szacunek... To, co śpiewała o szacunku Aretha Franklin, było smutnym błaganiem w porównaniu z ideą tego pojęcia, jaką wypracowała sobie Rosemary. W hierarchii rodzinnej pozycja mamy równała się pozycji papieża w hierarchii Kościoła

– jej zdaniem, oczywiście. Dobrze, że nie kazała całować się w pierścień.

– Mamo, wyluzuj. Żartowałam. Nie bierz każdego słowa tak poważnie.

– Masz rację, kochanie. Ostatnio jestem jakaś spięta. Twój ojciec...

– Nie martw się o ojca. Wiesz, jaki jest tata, znasz go od czterdziestu pięciu lat. Zawsze chadzał swoimi drogami. Dlaczego teraz nagle miałby się zmienić?

– Tym razem chodzi o coś innego. Nie potrafię powiedzieć, na czym to polega, ale martwię się. Dzieje się coś złego, uwierz mi.

– Rozmawiałas z nim? – Może ojciec jest chory?

– Teraz i Ellie się zaniepokoiła. Ted Peters nie lubił się skarżyć.

– Nie chce rozmawiać. Mówi, że wszystko w porządku i coś sobie ubzdurałam.

– Sama widzisz. – Ellie próbowała rozładować napięcie. – Możesz być spokojna. – Pragnęła, żeby to była prawda.

– Tak pewnie mówił Ted Bundy tym dziewczynom, które zaczepiał. Możesz być spokojna, przy mnie jesteś bezpieczna, a potem podrzynał im gardła.

Matkę Ellie przerażali i fascynowali seryjni mordercy. Żyła w ustawicznym strachu, że któregoś dnia ona albo ktoś z jej najbliższych padnie ofiarą psychopatycznego potwora.

Tak często mówiła o Tedzie Bundym, że stał się właściwie członkiem rodziny. Nigdy natomiast nie wspominała o Jeffie Dehamerze, a to dlatego, że Jeff zjadał ludzi, co automatycznie dyskwalifikowało jego osobę w oczach Rosemary.

– Nie widzę żadnego związku między tatą i Bundym, ale uważam, że niepotrzebnie się martwisz.

– Pójdę jutro do kościoła i pomodłę się za niego. Modlitwa zawsze pomaga.

– Doskonały pomysł! Przy okazji możesz pomodlić się i za mnie. Powiedz Bogu, że chciałabym poznać seksownego faceta z kasą, dobrego w łóżku, kochającego psy, z kompletem włosów na głowie.

Gdyby tacy istnieli!

– Brian był bardzo miły. Szkoda, że z nim zerwałaś. Trudno o zamożnego mężczyznę, w dodatku heteroseksualnego. Mieszkasz w Nowym Jorku, wokół sami geje, nie powinnaś za bardzo przebierać, jak już trafi się jakiś normalny.

Ellie знаła na pamięć argumenty wytaczane przez Rosemary. Zwykle na tym etapie rozmowy wyłączała się pod pierwszym lepszym pretekstem.

– Mamo, powinnam już...

– Nie tak szybko, moja droga. Chcę cię o coś zapytać.

Cholera! Kiedy Rosemary oświadczała, że „chcę o coś zapytać”, nie wróżyło to nic dobrego. Ellie westchnęła bezradnie.

– O co chodzi?

– Wybierasz się do domu na Boże Narodzenie? Ja i ojciec jesteśmy coraz starsi, chcielibyśmy spędzić trochę czasu z tobą.

– Skąd mogę wiedzieć? Boże Narodzenie dopiero za kilka miesięcy.

– Nawet się nie obejrzysz, kiedy będzie grudzień. Obiecay, że przyjedziesz.

Ellie zwykle nie miała problemu z wykręcaniem się od niechcianych zobowiązań, które inni próbowali na niej wymuszać, ale kiedy Rosemary coś sobie zaplanowała, żadna siła nie mogła tego zmienić. Początek ataku zwiastowały nasilające się telefony, po nich szły paczki z ciasteczkami domowej roboty, a kiedy Rosemary oznajmiała, że przyjedzie osobiście, by przedstawić swój punkt widzenia, Ellie zwykle kapitulowała. Westchnęła teraz smętnie na myśl o świętach wśród palm i plażowiczów, zamiast w zasypanym śniegiem Nowym Jorku, i uległa, wiedząc, że matka nie spocznie, dopóki nie złamie ukochanego dziecka. Po prostu taka już była.

– Dobrze, przyjadę, ale uprzedzam, czasami muszę pracować w święta, tym razem też się tak może zdarzyć.

– Porozmawiasz z szefem. Na pewno zrozumie, że rodzina jest ważniejsza i pozwoli ci przyjechać.

– Pan Moody nie jest żonaty i ma w głębokim poważaniu życie rodzinne swoich pracowników.

Herbert Moody był wyjątkowym palantem. Ellie czekała, kiedy ten ponury przeżytek wcześniejszych epok odejdzie na emeryturę i jego miejsce zajmie ktoś przytomniejszy, bardziej zbliżony do teraźniejszości.

– A co, jest niewierzący?

– Nie. To wredny stary pryk, który wieki temu powinien był przejść na emeryturę. Pracuje w ONZ chyba od dnia założenia tej szlachetnej organizacji.

– Przebąkiwano coś o jego odejściu, ale Moody pomimo to trwał dalej na stanowisku. Ellie podejrzewała, że Moody ma haka na każdego, kto choć trochę się liczył. Zupełnie jak J. Edgar Hoover, niezatapialny przez całe dekady szef CIA, tyle że Moody nie był chyba gejem.

– Nie powinnaś wyrażać się z takim lekceważeniem o starych ludziach, Elinore. Wiele mogłabyś się od nich nauczyć, gdybyś tylko potrafiła słuchać.

Rosemary zawsze zwracała się do córki pełnym imieniem, kiedy chciała podkreślić wagę wypowiedzianych słów: „Zapamiętaj sobie, Elinore...”.

– Nie wyrażam się, ale pan Moody jest przygłuchy i tak cuchnie mu z ust, że swoim oddechem powaliliby słonia oddalonego o cały kilometr.

– Powiem ojcu, że przyjeżdżasz, może ta wiadomość oderwie go chociaż na chwilę od komputera.

– A może powinniście wybrać się w rejs wycieczkowy po Karaibach, zafundować sobie romantyczne

wakacje. Co ty na to? Dobrze zrobiłaby wam zmiana otoczenia.

Rosemary przez chwilę rozważała pomysł w głębokim milczeniu, po czym oznajmiła:

– Wiesz, Ellie, to niezły pomysł. Większość statków pasażerskich wypływa z Miami albo z Fort Lauderdale, oszczędzilibyśmy na samolocie. Muszę się nad tym poważnie zastanowić.

– Na pewno znajdziesz w sieci dobre oferty.

– Poszukam. Nie umiem poruszać się po internecie tak dobrze jak twój ojciec, rzadko korzystam z komputera, ale dam sobie radę.

Ellie poczuła się od razu lepiej. Matka rzadko słuchała jej rad. Prawdę mówiąc, nigdy. Rada musiała być rzeczywiście doskonała, skoro Rosemary zgodziła się ją rozważyć. Rosemary żyła w błogim przekonaniu, że wie wszystko najlepiej. Z jej ust nieprzerwanym strumieniem płynęła najgłębsza mądrość, niczym gorąca lawa. I niczym gorąca lawa zastygała w kamień, zamieniając się w niepodważalne pewniki.

– Będziecie mieli okazję, żeby wreszcie porozmawiać – ciągnęła Ellie. – A w dodatku rejsy wycieczkowe są bardzo romantyczne. Popłyńcie na Karaiby. Zarezerwujcie kabinę na dobrym statku, zaszalejcie trochę. Oboje na to zasługujecie.

– Dziękuję ci, kochanie. Cieszę się, że zadzwoniłam. Lżej mi na sercu.

Ellie mogłaby powiedzieć to samo, bo widmo niechybnej matczynej wizyty odpłynęło w bliżej nieokreśloną przyszłość.

– Daj znać, co postanowiliście w sprawie rejsu – powiedziała z uśmiechem.

– Oczywiście. Będę cię informowała na bieżąco. Jesteś przecież moją córką, a taki rejs to ważne przedsięwzięcie.

Ellie cichutko westchnęła, modląc się o cierpliwość. To miał być tylko rejs wycieczkowy, nie operacja mózgu.

– Do usłyszenia, mamó.

– Ellie...

– Tak?

– Pamiętaj, przemyj muszlę i deskę sedesową lizolem. Nie wiesz, kto tam mieszkał przed tobą. I nie zaszkodzi wyszorować podłogi mydłem Murphy’ego, a potem...

– Ktoś puka, mamó. Muszę kończyć. Pa.

Ellie odłożyła słuchawkę i wzniosła oczy do nieba, a mówiąc ściślej, wbiła wzrok w sufit.

– Boże, spraw, żeby oboje popłynęli w rejs na Karaiby – szepnęła z uczuciem.

ROZDZIAŁ DRUGI

*Jeśli chcesz poznać faceta,
musisz go poszukać.*

W sobotę Ellie zdobyła się na wielki krok, to znaczy kupiła kwartalny karnet na siłownię Gold Gym, uznawszy, że dla kogoś, kto nie przepada za nadwyreżaniem ciała, taki trzymiesięczny okres próbny to doskonale rozwiązanie. Spróbuje, przekonana się, czym to pachnie i w razie czego przedłuży karnet.

W każdym razie zakładała optymistycznie, że przedłuży. Na pewno przedłuży. Raczej przedłuży. Chyba tak.

W jej szaleństwie była metoda.

Otóż wyszła z całkiem słusznego założenia, że siłownia to nie tylko miejsce, gdzie można stracić kilka kilogramów. Na siłowni można

również poznać faceta. Jeśli szuka się partnera, należy bywać tam, gdzie można spotkać mężczyzn, logiczne.

Nie grała w golfa, w squasha, nie bywała w barach, w których ogląda się mecze, ale mogła ćwiczyć, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

W momencie gdy Brian zniknął z jej życia, właśnie zaszła potrzeba.

Nie zamierzała żyć w celibacie dłużej, niż to konieczne. Seks ze wspomaganiem mechanicznym był do niczego. Nie mówiąc już o tym, że którejś nocy skończyło się to porażeniem. Generalnie, średnia przyjemność, ale Ellie wreszcie pojęła dosłowne znaczenie określenia „lechtanie zmysłów”. Niestety, jej „lechtane zmysły” omal się nie przypiekły.

Nigdy nie przyznałaby się matce, że lubi seks. Rosemary uważała, że seks przed ślubem jest niemoralny, a jedynym celem i usprawiedliwieniem stosunku jest prokreacja.

Jasne!

Seks był świetnym sposobem na rozładowanie napięcia, wzmacniał apetyt. Chociaż tego ostatniego nie była akurat pewna w stu procentach, brak apetytu mógł wynikać z wyczerpania. Po seksie skóra jaśniała, stawała się świetlista.

Tak, warto było poszukać kogoś, z kim można by uprawiać seks w miarę regularnie i kto wiedziałby,

co należy robić w łóżku, czyli umiałby doprowadzić kobietę do orgazmu.

Najpierw jednak musiała odzyskać formę. Cellulitis i fałdy na brzuchu nie najlepiej współgrały z seksem, niezależnie od tego, co twierdziła matka. Rosemary pewnie od co najmniej dziesięciu lat nie uprawiała seksu, ale jej życiem intymnym Ellie nie zamierzała się zajmować. Seks rodziców to zagadnienie, które każdy zdrowy człowiek powinien omijać szerokim łukiem. Wiadomo, że dociekliwie dzieci Bóg karze za podobne myśli ślepotą, uschniętą kończyną albo innym trądem.

– Ty musisz być Ellie Peters – odezwał się jakiś wzorzec męski, z listą w dłoni, wytrącając Ellie z dość chaotycznej zadumy. – Jestem Will Trawers, twój osobisty trener.

Ha! Kawał interesującego samca w charakterze jej osobistego trenera. Wzorzec męski miał zabójczą muskulaturę i ładne zielone oczy o ciepłym spojrzeniu.

Dać mu od razu numer telefonu czy poczekać do następnego spotkania?

– Ellie to ja – posłała mu promienny uśmiech podpatrzony u Meg Ryan.

Ujął między dwa palce ciało na jej przedramieniu i cellulitis ukazał się w całej krasie.

Meg Ryan nie ma zbędnej tkanki tłuszczowej na przedramionach. To tłuszczuk dziecięcy, krzyknął

mózg Ellie, który wykombinował sobie szybko, że każda osoba poniżej trzydziestego piątego roku życia może rościć sobie prawo do przechowywania pozostałości tłuszczu dziecięcego pod skórą. O ile nikt nie spróbuje zweryfikować tego odważnego twierdzenia.

Wzorzec je zweryfikował.

– Wygląda na to, że czeka nas trochę pracy
– stwierdził.

– Aha, po to tu jestem.

– Znakomicie. Zatem zaczynamy.

Wzorzec męski zaczął ją ważyć, mierzyć, badać dokładnie warstwy tłuszczu, po czym zapisał te wszystkie informacje w karcie, którą dla niej założył. Na pewno zaznaczył tam wielkimi czerwonymi literami: TŁUSZCZYK DZIECIĘCY? – AKURAT, CO ZA BZDURA!!!

Normalnie Ellie powiedziałaaby takiemu wzorcowi na sterydach, co może sobie zrobić ze swoimi notatkami, ale facet miał ramiona jak konary drzewa, klatę w rozmiarach średniej wielkości miasta i żadnej obrączki na palcu. Postanowiła zatem przełknąć upokorzenie, schować do kieszeni dumę i zachowywać się przyjaźnie.

Nie potrafiła ocenić rozmiarów innych atrybutów Willa, ale na pierwszy rzut oka przedstawiał się obiecująco.

Rozmiar jest ważny, cokolwiek ludzie na ten

temat sądzą. Czy chodzi o męskie genitalia, kobiece piersi czy szarą substancję mózgu, rozmiary są ważne. Im większy rozmiar, tym lepiej. Powiedzmy sobie szczerze, nie chciała być podła, ale maluszek na pewno nie dotrze do punktu G. Szkoda fatygi, to i tak zakończyłoby się kompletną klęską.

– Jestem pewna, że trafiłam w dobre ręce – powiedziała dziarsko.

W końcu tylko King Kong miał większe...

Will zmierzył ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów, zapisał coś w karcie i oznajmił:

– Masz dobre ciało, Ellie. Potrzebuje tylko ujędrnienia. Przebierz się i o dziesiątej spotkamy się przy bieżni mechanicznej. Opracujemy twoją dietę i plan ćwiczeń.

W obawie, że zarobi punkty karne za spóźnienie, Ellie przebrała się błyskawicznie i o ustalonym czasie stawiała się w oznaczonym miejscu, odziana w czarne szorty Nike i czarny top, pod którym rysował się wyraźnie brzusek informujący o każdym pochłoniętym nierozważnie batonie, kromce chleba i porcji lodów.

Will, zabójca tkanki tłuszczowej, nie będzie z niej zadowolony.

– Nie zrobię ani kroku więcej – oznajmiła po dziesięciu minutach na bieżni. Dyszała gorzej niż zboczeniec nękający przez telefon nieznajome

panie i była spocona, jakby przed chwilą urodziła co najmniej pięcioraczki. – Nie wiem, jak myszy mogą biegać w kółko.

Jedzą ser, ot co.

– Moja siedemdziesięciopięcioletnia babcia ma lepszą kondycję od ciebie – powiedział Will i złagodził przycinek uśmiechem, który był tak seksy, że Ellie zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek, ryzykując atakiem serca.

Może to dziwne trzepotanie w piersi to wcale nie jest reakcja na powaby Willa, tylko poważna przypadłość kardiologiczna?

– Widocznie twoja babcia ma lepsze geny niż ja.

– Możliwe. Babcia pali, pije Martini z wódką i ciągle uprawia seks. Twierdzi, że dzięki temu zachowuje młodość. Niesamowite.

Ellie uniosła brwi, ale nic nie powiedziała, choć miała wielką ochotę zapytać, jak i gdzie babcia znajduje partnerów, skoro jej samej nastrocza to tyle trudności.

Z drugiej strony nie miałyby chyba ochoty iść do łóżka z kimś, kto na noc wkłada zęby do szklanki.

– Teraz ciężary. Tylko w ten sposób wzmocnisz bicepsy i tricepsy, spalając przy okazji tłuszcz. Chcesz chyba włożyć tank top w przyszłe lato.

Ellie pokręciła głową.

– Lubię bluzki z rękawami. Nie ma oparzeń od słońca, komary nie gryzą...

– Musisz też ujędrnić piersi. Będą ładne, sterujące, musimy tylko nad nimi popracować.

Ellie zachmurzyła się.

– Co ci się nie podoba w moich piersiach? Według mnie prezentują się całkiem przyzwoicie.

– Prawdę powiedziawszy, uważała, że piersi to jeden z jej największych atutów, ale na Willu najwyraźniej nie robiły żadnego wrażenia.

– Tutaj są trochę obwisłe. Nie chcesz chyba nosić stanika w rozmiarze 85C?

– Należałoby cię odstrzelić. Nie wiem, po co tutaj przyszedłam. To jakaś cholerna izba tortur. Do tego jestem obrażana... Zażądam zwrotu pieniędzy. – Psiocząc pod nosem, Ellie przeszła w Willem do sali, gdzie były ciężary. Nie miała siły klócić się z tym facetem i nie bardzo wiedziała, jak zdoła wyprowadzić Barnabę na popołudniowy spacer.

W sali z ciężarami pełno było ćwiczących, w powietrzu unosił się zapach potu i testosteronu. Will kazał jej położyć się na leżance i podał ciężary, właściwie ciężarki, bo każdy ważył zaledwie półtora kilograma, ale równie dobrze mogły ważyć i po półtonie, tak trudno było je unieść.

Dotąd nigdy w życiu nie podnosiła ciężarów, nawet przez myśl jej nie przeszło, że w ogóle jest do tego zdolna.

– Dobrze ci idzie. Kontynuuj, a ja wrócę za

chwilę. Muszę z kimś porozmawiać. Pompuj, pompuj, nie oszukuj. Ja wszystko widzę.

– Nienawidzę cię.

– Wiem, ale kiedy skończę modelować twoje ciało, będziesz mi dziękować, że masz taką doskonałą formę.

Ellie nie należała do tych, którzy łatwo się poddają, ale teraz miała ochotę zrezygnować, zwać stąd jak najdalej i nigdy nie wracać. Nie doświadczyła podobnego bólu od jedenastego roku życia, kiedy spadła z roweru i zwichnęła sobie bark, ale wtedy dostała od matki lody za to, że była taka dzielna. A teraz? Jediną nagrodą miały być dla niej głupie i poniżające komentarze jakiegoś bubka!

– Witaj, Ellie.

Ten głos. Głęboki, seksowny. Wszędzie by go rozpoznała. Był jak gorąca czekolada i nawiedzał ją w snach, po prostu prześladował od wielu lat.

Jak to możliwe?

Otworzyła jedno oko, zatchnęła się z wrażenia, upuściła ciężarki, które z głośnym łoskotem poleciały na podłogę. W dodatku omal nie rozbiła głowy o umieszczony nad leżanką wyciąg, tak gwałtownie usiadła.

Niech to diabli, Ellie Peters nadal wyglądała świetnie.

Miała teraz krócej ostrzyżone włosy, ważyła

jakieś pięć kilogramów więcej, ale ciągle była tą samą Ellie, jaką zapamiętał.

Ellie, z którą był zaręczony.

Ellie, z którą zerwał.

Ellie, która teraz go nienawidziła.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, stała przy automacie sprzedającym colę, waliła w niego pięściami i kopała, twierdząc, że maszyna ukradła jej dolara.

Dla Michaela Deaversa była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Tak jak Ellie, studiował filologię na Georgetown University w Waszyngtonie, tam się poznali i pokochali. Ellie poprzestała na dyplomie magistra, on zrobił jeszcze studia doktoranckie z lingwistyki, licząc, że kiedy zmęczy go już wyścig szczurów, wróci na uniwersytet i zajmie się dydaktyką.

Został w Waszyngtonie. Początkowo pracował dla dużej firmy farmaceutycznej, potem w Departamencie Stanu, skąd trafił do ONZ w Nowym Jorku, na stanowisko dyrektora Działu Przekładów i Tłumaczeń, które od dawna było jego marzeniem.

I które to marzenie miało przerodzić się w koszmar. Cekał z przerażeniem, kiedy Ellie się dowie...

Inna kobieta dawno by mu wybaczyła i zapomniała, ale nie Ellie. Minęło siedem lat od chwili ich rozstania, a jednak pamiętała. Wiedział o tym, znał ją aż nazbyt dobrze. W końcu w jej żyłach płynęła włoska krew.

Wkrótce po ich rozstaniu przysłała mu mocno poturbowaną laleczkę wudu ze szpilkami wbitymi w okolice łędźwi i kartką z lakonicznym epitetem „złamas”.

Nie, żeby na to nie zasłużył. Potraktował ją gorzej niż strasznie. Poprosił ją o rękę, dał jej pierścionek z brylantem, który potem spuściła do sedesu, snuł plany wspólnego życia, a w końcu się wycofał.

Najkrótsze narzeczeństwo w historii świata.

Nie chciał zadać jej bólu. Kochał ją do szaleństwa. Niestety przeraziła go perspektywa małżeństwa, nie tyle konkretnie z Ellie, po prostu małżeństwa w ogóle. Miał swoje marzenia, swoje wzniosłe cele i bał się, że dom, żona, dzieci zrujnują mu przyszłość.

Nadal był singlem, co wieczór przynosił do domu kolacje kupione na wynos i przez ostatnich siedem lat nie było dnia, żeby nie pomyślał o Ellie.

– Co ty tu robisz? – wychrypiała Ellie.

Michael mógłby zapytać o to samo, omal nie udławił się pastylką miętową, kiedy zobaczył ją wyciągniętą na leżance i ćwiczącą podnoszenie ciężarków.

Ellie nigdy nie należała do specjalnie usportowionych. Jedyna aktywność fizyczna, jakiej się oddawali wspólnie, poza uprawianiem miłości, to

były spacerować po kampusie Georgetown, a ciężki wysiłek kojarzył się jej co najwyżej z przeglądaniem wieszaków z sukniami w sklepach Ann Taylor.

– Co tu robisz, Michael? – powtórzyła, tym razem z gniewnym błyskiem w oku.

– Ćwiczę, podobnie jak ty.

Podniosła się i stanęła naprzeciwko niego, z rękami założonymi na piersi i wysuniętą do przodu brodą.

Michel czuł zapach jej perfum zmieszany z zapachem potu. Napłynęły wspomnienia, które bezpieczniej byłoby raz na zawsze pogrzebać. Nagły ból w lędźwiach nie miał nic wspólnego z odbytymi właśnie ćwiczeniami.

– Doskonale wiesz, że nie o to pytam – powiedziała ze złością. – Co robisz w Nowym Jorku? Myślałam, że mieszkasz w Waszyngtonie.

Michael rozważał przez chwilę, czy powiedzieć jej o swojej nowej pracy, w końcu jednak uznał, że lepiej na razie zachować to dla siebie.

– Przyleciałem służbowo, często tu bywam. W końcu to tylko godzina lotu z Reagan National.

Ellie jakby się odprężyła, co oznaczało, że kupiła jego odpowiedź. Po części była to prawda, ale właśnie to „po części” w każdej chwili mogło zaowocować potwornymi komplikacjami.

Życie z Ellie zawsze było jedną wielką komplikacją.

– Jestem zaskoczony, że chodzisz na siłownię. Nie spodziewałem się tego po tobie. Zresztą niepotrzebna ci siłownia. – Ellie świetnie wyglądała w swoich czarnych szortach. Miała świetne nogi i pełne, miękkie piersi, które aż prosiły się o pieszczotę.

Kiedys często ich dotykał.

Zaczerwieniła się i zaplotła ręce na brzuchu, jakby dało się w ten sposób ukryć wszystkie zjedzone batony.

– Chcę odzyskać formę. Zmieniam swoje życie. Eliminuję błędy i pomyłki, można powiedzieć. W związku z czym – uśmiechnęła się słodkim uśmiechem piranii – życzę ci miłego życia. Miło było cię spotkać.

Michael patrzył, jak Ellie znika w szatni dla kobiet. Pokręcił głową i ciężko westchnął. W poniedziałek rano rozpęta się prawdziwe piekło, już to widział oczami wyobraźni.

Ellie weszła do szatni, oparła dłonie na kolanach, wzięła kilka głębokich, uspokajających oddechów.

Na szczęście była sama. Nikt nie widział, jak się rozkleja na sam widok Michaela Deaversa. Boże, co za katastrofa!

Dlaczego, u diaska, musiała natknąć się na niego akurat teraz, kiedy czuje się taka samotna, rozbita, bezradna i słaba?